

## Ucieczka zbiorowa z podobozu Brzeg

Zorganizowanie nowego komanda „Kanada”<sup>2</sup> zainteresowało dosłownie wszystkich więźniów. Ta grupa robocza miała za zadanie przeładowywanie towarów z pociągów na stacji Löwen<sup>3</sup> do jakiejś budowli, w odległych 4 kilometry od stacji, pobrowarcznych budynkach.

Już sam wyjazd ciężarówką z obozu dawał pewne urozmaicenie, a gdy się dowiedziano, jakie to są towary, cały obóz był chętny do tych prac.

Przeładowywano bowiem: świąteczne paczki żołnierskie, najrozmaitsze napoje alkoholowe w doskonałych gatunkach, jak koniaki, szampany, wina węgierskie i kaukaskie, papierosy, białe koce, rękawice zimowe, śpiwory i tak dalej.

Komando to powstało albo w końcu listopada, albo w początkach grudnia. Od kapo Noconia zależało, kto mógł się dostać i pracować w tej „Kanadzie”.

Jasne jest, że i nas te całkiem nowe i niespodziewane możliwości mocno zainteresowały. Dawały bowiem całkiem realną okazję odżywienia się i nabrania sił, których nam wszystkim zaczynało brakować, a przede wszystkim poważne możliwości ucieczki.

Do komanda pchali się dosłownie wszyscy w sposób dość brutalny, to znaczy wypychając starszych i słabszych z ustawionych już piątek, i sam Nocoń musiał, często bijąc więźniów, robić porządek.

Załatwiliśmy więc z Noconiem, że jeśli ułatwi nam dostanie się do komanda, to będzie zaopatrywany stale i dokładnie w najciekawsze artykuły, to jest czekoladę i koniaki. Znał mnie dobrze, więc uwierzył i poszedł na rękę. Nie posądzał nas o nic, gdyż wiedział, że i my musimy się podrepe-

<sup>1</sup> Mieczysław Dukalski, ur. 1.01.1910 r. w Radomiu, przed wojną oficer marynarki handlowej. 30.07.1944 r. ewakuowany z Pawiaka do KL Gross-Rosen, gdzie otrzymał numer 12178 (seria powtórzona), następnie pierwszym transportem przewieziony do AL Brieg. W 1945 r. ewakuowany do Leitmeritz (nr 87154).

<sup>2</sup> Waldhauskommando, nazywane przez więźniów „Kanada”, „Cukierek” lub „Czekoladowe”, było zatrudnione przy porządkowaniu magazynów Wehrmachtu ewakuowanych z linii frontu wschodniego. Praca w nim była pożądana przez wszystkich więźniów ze względu na możliwość „zorganizowania” sobie dodatkowego jedzenia.

<sup>3</sup> W oryginale błędnie – Löwe; obecnie Lewin Brzeski.

rować fizycznie. Tak więc paru naszych chłopców, z Bratkiem na czele, zaczęło pracować, jak i obserwować interesujące nas możliwości.

Po przybyciu do olbrzymiej szopy (jeśli dobrze dziś pamiętam, trzy-piętrowej, o długości chyba około 40 metrów, a szerokości ze 25) połowa mniej więcej odjeżdżała na małą stację kolejową, gdzie już czekały na wyładowanie wagony. Towary ładowano na ciężarówki, którymi przewożono je do magazynu. Ten, dawno nie używany browar, stał w lesie. Ruchu w okolicy prawie nie było. Jedynym mieszkańcem był stary dozorca, zdaje się, że z rodziną. Pustka dookoła zupełna.

W magazynie postowie rozstawiali się po jednym na piętrze, no i dosłownie namawiali nas do kradzieży dla nich i ich nieobecnych kolegów. Wyjazdy do pracy z obozu odbywały się wczesnym rankiem, jeszcze po ciemku, a powroty w najrozmaitszych porach, zależnie od nadchodzących transportów. Wracało się często zaraz po południu, jak i późną nocą, po północy. Ta nieregularność była dla naszych zamysłów bardzo ważna i pozytywna.

Jeśli dobrze pamiętam, to z Brzegu do Opola jest czterdzieści parę kilometrów. Stacja Löwen (dzisiaj chyba nazywa się Lewin) [...] znajduje się mniej więcej w połowie drogi do Opola.

Po naradzie z kapitanem Kozubowskim, Bratkiem i Ślązakiem z „Baszty” postanowiliśmy się przygotować do ucieczki z tego właśnie komanda. Możliwości były bardzo duże:

1/ Nieregularne powroty do obozu przestały zwracać uwagę, automatycznie usypiając czujność nawet naszych kapo.

2/ W tych czasach widziało się na wszystkich niemal drogach ciężarowe wozy, przewożące tak zwane himmelkommando, złożone z więźniów kacetowych wysyłanych do rozbrajania niewypałów bomb po nalotach sojuszniczych. Te komanda jeździły we wszystkich kierunkach i w najrozmaitszych porach dnia i nocy.

3/ Odległość od naszego miejsca pracy do granicy Guberni wynosiła około 80 kilometrów. Tam spodziewaliśmy się spotkać już polskich partyzantów, o których istnieniu w tych okolicach wiedzieliśmy.

Nasze przygotowanie się polegało na zdobyciu jak największej wiadomości o możliwych posterunkach drogowych, kontrolujących ruch na szosach. Zdobyciu planu miasta Opola, aby możliwie najkrótszą drogą pojechać w kierunku na Częstochowę przez Lubliniec. Oswojeniu naszych postów przez zdobycie ich zaufania do nas, osłabienie ich czujności, przyzwyczajenie ich do picia mocniejszych alkoholi, jak również namówienie do

kradzieży razem z nami. Jednym słowem, aby stali się w pewnym stopniu naszymi współnikami. Dobrze ludzi pewnych i zdecydowanych.

Oswojenie naszych postów udało się całkowicie. Jedynie, do samego końca, trudniejszy do obłaskawienia był podoficer oraz szofer, reszta z ręki nam jadła. Oni to, podpici, kazali nam, po pracy, w drodze do obozu, śpiewać nasze wojskowe piosenki. Ludzi również nie brakowało, wybór był łatwy. Stały kapo tego komanda, młody chłopak z Sosnowca, również zdecydował się nam pomóc i wiać z nami. Największe kłopoty były z wyborem drogi, z zebraniem danych, co do możliwych kontroli i trudności na przewidywanej trasie. Dużo nam pomógł dowódca komanda „Eimer”, podoficer lotnictwa, zaciekły antyhitlerowiec, który stracił rodziców, żonę i dzieci w jakimś bombardowaniu Düsseldufu. Obiecał nawet mapkę drogową, ale ostatecznie nigdy nam jej nie dał. Inne jego informacje, aż do Opoła, były dobre. Wiedział, że chcemy wiać, a tylko musieliśmy mu obiecać, że nie będziemy robili czegoś, co mogłoby być niebezpieczne dla niego i że nie uciekniemy z komanda podczas jego służby. Obiecaliśmy i dotrzyaliśmy słowa. Nie miał nigdy żadnych przykrości przez nas.

Nie mieliśmy mapki, ale liczyliśmy na naszego kapo, który znał dobrze Opole i okolice (zdaje się, że pracował tam przed wylądowaniem w kaciecie), a na dalszą drogę przewodnikiem mógł nam być wojskowy z 74 pułku piechoty, który przed wojną stacjonował właśnie w Lublińcu.

Dyrektwy dla uciekinierów były jasne. Nie można brutalizować ani zabijać postów lub jakiegokolwiek Niemca, aby nie dać powodu do represji na pozostałych w obozie współwięźniach.

Z chwilą rozbrojenia postów nasza wiejąca banda staje się oddziałem wojskowym, partyzanckim, w którym obowiązuje dyscyplina wojskowa i zwyczaje partyzantów polskich. Dowodzić będzie kapitan Bolesław Kozubowski, jako najstarszy rangą i starszeństwem oficer. Po dotarciu do Guberni i spotkaniu oddziałów leśnych wszyscy są wolni i mogą odejść do domów czy do innych oddziałów. Przypominam, że wśród naszych ludzi byli konspiratorzy z najrozmaitszych formacji i organizacji ideowych Podziemia. Był również niejaki Samurajew, Rosjanin, myślę, że oficer NKWD.

\* \* \*

Późny powrót komanda z pracy w dniu 4 stycznia, bo przed północą, wywołał do pewnego stopnia panikę w obozie. Ktoś puścił idiotyczną wiadomość, że całe komando zwało. Naturalnie ta atmosfera w obozie mocno nas zaniepokoiła. Baliśmy się jakichś zmian w składzie komanda

i ewentualnego zaostżenia przez postów dyscypliny. Dlatego też postanowiliśmy wiać następnego dnia. Ustawianie się komanda do wyjścia do pracy odbywało się naturalnie po ciemku, jako że była to zima. Ustawianie się naszego komanda wywołało zbyt dużo hałasu, co spowodowało zainteresowanie się nami Noconia. Towarzystwo przepychało się bowiem w kolumnie wyjściowej. Zorganizowani wypychali starszych ludzi z szeregów, a ci bronili swych praw do komanda. Gdy Nocoń zobaczył nas paru, stojących już do wyjścia, zaczął z miejsca robić porządek. Bratek, Kozubowski i kilku jeszcze młodszych wyleciało z kolumny. Nocoń wpakował na ich miejsce kilku starszych wiekiem więźniów. Ostatecznie ruszyliśmy do wyjścia wraz z innymi komandami, choć jeszcze porządek nie został przez Noconia zakończony. W ostatniej chwili paru naszych, z Bratkiem na czele, jakoś wkręciło się do komanda.

Wyjazd do pracy i początek pracy w magazynie i na dworcu rozpoczął się normalnie i bez jakiegokolwiek podniecenia. Ja byłem w magazynie. Rozstawiliśmy się po piętrach i zaczęła się normalna praca, no i kradzież. Nasz program był taki: gdy skończy się przeladowywanie ostatniego wozu, rozbijamy naszych postów w samym magazynie. Jeśli przed czasem oficer nie odjedzie, jak to miał w zwyczaju, to i jego rozbiorwszy, wiążemy jak postów, okręcamy w koce, których było dużo, aby nie pomarзли, i przebrawszy paru naszych w mundury żołnierskie, ruszamy najspokojniej, bez względu na to, czy to będzie noc, czy jeszcze dzień, jako, tak często spotykane w tych czasach, „himmelkommando”, to jest komando więźniów do rozbijania niewypałów bomb amerykańskich. Do granicy Generalnej Guberni mieliśmy jakieś 80 kilometrów. Granicę zamierzaliśmy przejść już na piechotę, ciężarówkę chcieliśmy spalić wcześniej.

Sprawy jednak inaczej się ułożyły. Około południa oficer i grupa naszych pracujących na stacji wróciła, gdyż, jak się okazało, nie przyszły przewidziane na ten dzień transporty. Nasi postowie byli lekko pod gazem, ale ci z dworca jeszcze całkiem trzeźwi. Oficer, strażnicy i więźniowie przybyli z dworca pozostali przed magazynem, a myśmy dostali rozkaz natychmiast opuścić magazyn. Byliśmy całkowicie zaskoczeni tym nieprzewidzianym rozkazem, no i całkiem nową sytuacją. Wyglądało mi, że z naszego planu dzisiaj nic nie wyjdzie. Zaczęliśmy schodzić, biorąc co można z wódeczności i czekolady, mając na myśli nasz haracz dla „zielonych winkli”. Już po zejściu na dół zaczęło się wyczuwać podniecony nastrój chłopców. Nikt nie chce odkładać ucieczki na inny dzień. Wszyscy wtajemniczeni chcą wiać, ryzykując wszystko. Wszyscy są przekonani,

że po rannej przebiec Noconia, do komanda już się więcej nie dostaną. Wszyscy zwracają się do mnie o powzięcie decyzji ucieczki. Ja sam również miałem dosyć tej nerwowej i niepewnej sytuacji, więc się zdecydowałem.

Normalnie nasz transport wyglądał tak: ciężarówka była dla więźniów, w szoferce siedział kierowca i podoficer, a postowie jechali w odkrytej przyczepce, mając oko na nas. Gdyby więc tak miał wyglądać nasz powrót, to nie mielibyśmy żadnej szansy. Trzeba było ściągnąć postów do ciężarówki, między nas. Udało się to dzięki postom z dworca, którzy jeszcze nie mieli alkoholu w ustach, a zimno było dość dotkliwie, mróz. Chętnie więc całe szanowne grono postów wylądowało w naszej budzie z butelkami w rękach. Buda była przytulniejsza niż odkryta przyczepa. Gwaro i głośno było w budzie. Toteż po ujechaniu paru kilometrów, gdzieś w połowie drogi między magazynem i jakąś wioską, wyrwałem karabin stojącemu naprzeciwko mnie postowi, [...] a reszta bractwa zajęła się innymi szkopami. Gwar i tarabanienie w budzie nie zwróciło uwagi nikogo w szoferce. Gdy mieliśmy już postów na podłodze, całkowicie niezdolnych do oporu, przepchałem się do przodu wozu i zacząłem walić w budę szoferki, krzycząc, że posty się popiły i chcą do nas strzelać. Ciężarówka się zatrzymała, a podoficer i szofer skoczyli do tyłu. Na podoficera skoczył Bratek, a na szofera ja. Z pomocą paru kolegów rozbroiliśmy ich i wsadziliśmy do wozu. Mieliśmy szczęście, że nie było zupełnie ruchu na szosie. Edward [Podgórski – przyp. wyd.] przebrał się natychmiast w płaszcz wojskowy i wsiadł ze mną do szoferki.

Zawróciliśmy. W czasie szamotania się z podoficerem nasz kapo, Polak pochodzący z Sosnowca, który należał do naszej zorganizowanej paczki, nie wytrzymał nerwowo i wywał nam z wozu. Zostało nas tylko 29 ludzi. Ta jego ucieczka mocno zaważyła na naszym morale, jak się później okazało. Chwilowo chcieliśmy wiać jak najprędzej, nim zaalarmowane będzie Opole, przez które musieliśmy przejechać w biały dzień. Następne rozczarowanie to to, że ciężarówka nie może wyciągnąć więcej niż 40 kilometrów na godzinę. Motor był tak wyregulowany i zaplombowany. Były to oszczędności na karburancie. Na dodatek, po paru kilometrach czarny kot przebiegł nam drogę i Edward odmówił prowadzenia wozu przy takim przykrym „omen” na przyszłość. Przyznaję, że i ja, i moi chłopcy mieliśmy nerwy napięte do ostatnich granic. Starsi panowie, którzy nie wiedzieli nic o planowanej ucieczce, w rozbrajaniu szkopów z entuzjazmem pomagali, ale teraz całkiem stracili serce. Sytuację uratował Samurajew, jedyny, o ile wiem, Rosjanin w naszej ekipie i wtajemniczony w nasze plany, prawdo-

podobnie oficer, który po wysłaniu wiązanki rosyjsko-polskich soczystych przekleństw oświadczył, że on się kotów ani szkopów nie boi, no i pojechaliśmy dalej. W szoferce siedzieli Samurajew i Edward w mundurach oraz ja po cywilnemu (nie wszyscy w Brzegu mieli pasiaki, a płaszcze były prawie wszystkie jakieś pożydowskie, cywilne), udawałem majstra niemieckiego, tak że wyglądaliśmy dość naturalnie, choć o jednego było za dużo.

Do mostu na Odrze dojechaliśmy spokojnie i nadzieja nam wróciła, że wszystko dobrze się skończy. Przynajmniej tak myśleliśmy my w szoferce. Na moście po stronie prawobrzeżnej zobaczyliśmy policję wojskową, sprawdzającą papiery wozów wojskowych. Nie mogliśmy już zawrócić, więc pchaliśmy się dalej wraz z innym wozem za nami. Żandarm dał nam znać, że mamy zjechać na bok i stanąć. Odpowiedziałem ręką, że rozumiemy i staniemy, ale już przejeżdżając koło żandarma Samurajew dodał gazu i poszliśmy w najbliższą uliczkę. Z tyłu meldowano nam, że żandarm pogroził nam pięścią i notował szybko nasz numer wozu. W tym czasie my, po paru skrętach w ulicach nam całkowicie nieznanymi, wyjechaliśmy na dość szeroką szosę idącą za miasto. Jak się potem okazało wyjechaliśmy w całkiem dobrym kierunku Lubliniec – Częstochowa, ale wówczas o tym nie wiedzieliśmy. Na tej drodze, po ujechaniu kilku kilometrów, spotkało nas nieszczęście, które przypieczętowało los prawie nas wszystkich. Najbardziej durny wypadek, jaki mógł się nam przydarzyć. Która to była godzina nie umiem dzisiaj powiedzieć, mimo że to ja zabrałem zegarek i pistolet podoficera. Ile ujechaliśmy od Opola również nie mogę powiedzieć, na pewno jednak dobre 10-15 kilometrów, albo i więcej. Wjechaliśmy w lasy ciągnące się po obu stronach drogi. W pewnym momencie dojrzeliliśmy przed nami wóz żandarmerii, jadący dość powoli [...]. W tym samym czasie z tyłu wozu sygnalizowali, że zbliża się do nas dość szybko jakiś duży wóz ciężarowy. Pomyślałem: z przodu mamy żandarmów, a z tyłu Bóg wie kogo. Po bokach drogi lasy. Zatrzymamy się i zobaczymy, co z tego wyniknie, a jak będzie źle, to uciekniemy do lasu, którym będzie można dalej wiać, choć już bez samochodu i wolniej. Zatrzymaliśmy się, żandarmi dalej jechali powoli. Wysiadłem z szoferki, gdy wóz jadący za nami był dość blisko. W tym momencie, moim zdaniem, zaważył na naszym losie ten przeklęty czarny kot i wcale nie żartuję, bo oto część naszych więźniów, ci starsi, nie wytrzymali i zaczęli wyskakiwać z wozu, uciekając w las. Za nimi wyskoczyli naturalnie i ci ubrani w płaszcze niemieckich postów. W tym momencie przejeżdżał koło nas

ten duży wóz, który okazał się olbrzymią cysterną na wino, ale zło już się stało. Żandarmi z przodu, widząc więźniów wiejących do lasu i mundury niemieckie na szosie, zatrzymali wóz i zaczęli biec w naszym kierunku, krzycząc coś po niemiecku. Nie było już nic innego do zrobienia, jak zatrzymanie „ofensywy” żandarmów i całą grupą uciekanie do lasu. Nie celując oddałem parę strzałów z pistoletu, a paru naszych z karabinów, w kierunku żandarmów. Stało się tak, jak przewidywałem. Żandarmi natychmiast padli na ziemię i zabrali się do ostrzeliwania nas. Nie widziałem, żeby ktoś z naszych padł. Nie widziałem również, czy i ilu z naszych poszło w las z prawej strony. Ja pogałem jako jeden z ostatnich, z Samurajewem i chyba Edwardem (obaj mieli, zdaje się, karabiny), w las po lewej stronie drogi, czyli w kierunku północnym. Tam też chyba prawie wszyscy się znaleźli. O jakimś liczeniu i organizowaniu się nie było mowy, bo żandarmi ciągle nas ostrzeliwali. Biegliśmy więc całą bandą naprzód, jak stado baranów. Było to dobrze po południu.

Po kilku kilometrach biegu i forsownego marszu, zatrzymaliśmy się. Już wtedy Bratka, jak i Jerzego nie widziałem. Zdając sobie sprawę, że uciekając taką bandą dwudziestu paru ludzi, daleko nie uciekniemy, zaproponowałem podzielenie się na kilka zespołów. O wydawaniu jakichś rozkazów i traktowaniu naszej zbieraniny jak partyzantki, nie miałem co marzyć. Wszyscy starsi panowie byli sterroryzowani i za nic na świecie nie chcieli znaleźć się sami. W tym strachu, nie znając mnie prawie wcale, wszyscy mieli zaufanie do mnie. Był to typowy owczy pęd i strach, całkowity brak realizmu. Ruszyliśmy więc dalej.

Po jakimś czasie natrafiliśmy na bardzo głęboki i szeroki rów przeciwczołgowy, przecinający olbrzymią polanę. Po drugiej stronie rowu znajdowała się spora kępa drzew.

Przejsiecie przez rów zabrało nam dużo czasu, gdyż trzeba było pomagać sobie wzajemnie. Ostatecznie sforsowaliśmy tę zaporę, zebraliśmy się w kępie drzew. Zaczęło się zmierzchać, więc ruszyliśmy dalej.

Powstrzymały nas strzały dochodzące z przeciwka, ze skrajów lasu. Wyglądało, że jesteśmy otoczeni. Wszyscy więc w popłochu zawrócili do naszej kępy. Część gnała dalej w kierunku rowu. Zdawałem sobie sprawę, że odwrót przez rów będzie dla nas katastrofalny. Albo nas wystrzelają jak wróble, albo wybiorą jak ryby w matni. Zacząłem powstrzymywać bractwo i grupować koło siebie. Nie wszyscy usłuchali i widziałem paru padających koło rowu. Myślałem, że byli trafieni. W międzyczasie zaczęło się poważnie ściemniać. Kazałem łać gałęzie tym, którzy nie mieli broni. W chwili

podjęcia ucieczki mieliśmy razem 7 karabinów i pistoletów, ale ile nam jeszcze zostało w tym momencie, dziś nie pamiętam. Dość, że widząc ciągły ogień od strony lasu, ale nie na całej długości ściany leśnej, postanowiłem się przebić. Paru z naszych odpowiedziało ogniem karabinowym, aby szkopy wiedziały, że i my nie żartujemy i raczej trzymały się z daleka od nas. Połamane gałęzie miały imitować karabiny. I ten fortel, zdaje się, udał się nam. Gdy bractwo troszkę okrzepło, a kije tych koło mnie były gotowe, z krzykiem „urrra” ruszyliśmy pędem przez polaną. Trudno mi opisać ten moment, gdyż osobiście cały byłem pochłonięty tym atakiem i utrzymywaniem kierunku lewo w skos od miejsca skąd szedł najmocniejszy ogień. Do przebycia mieliśmy może 100, a może 150 metrów odkrytej polany. Kto był przed nami i ilu ich było nie mogę dzisiaj powiedzieć. Wyglądało, że ktoś z przeciwnika miał broń maszynową. Słyszałem krzyk naszych ludzi i widziałem, że wielu padło. Wówczas myślałem, że byli trafieni. Ostatecznie, całkowicie zziązani, dopadliśmy do jakiegoś mostka na skraju lasu i poszliśmy w las, przez nikogo nie ścigani. Było nas razem dziewięciu. W tej grupie był Edward, Samurajew, Franciszek [Więckowski – przyp. wyd.] (którego miałem za starszego podoficera), jakiś dość młody łodzianin i paru jeszcze, o których dziś nie umiem nic powiedzieć. Mieliśmy ze sobą trzy karabiny i mój pistolet, no i, bardzo ważne, zdobyczny zegarek. Tym razem ruszyliśmy w marsz już jako oddział partyzancki. Nikogo więcej nie trzeba było o nic prosić.

Maszerowaliśmy nocami. W dzień zaszywaliśmy się w możliwie gęste krzaki i stosunkowo niedaleko od osiedli ludzkich, do których zresztą nie próbowaliśmy zaglądać. Spaliśmy w dzień oparci o sosny. Mróz był rozmaity, ale prawie zawsze dobre 15–20 stopni. Naszym nieszczęściem było, że przez cały czas, mając niebo pokryte chmurami, nie było opadów śnieżnych. Było to duże niebezpieczeństwo, gdyż zostawialiśmy ślady na śniegu jak stado bawołów. Dalej, orientacja w lesie była dla mnie prawie niemożliwa. Jako nawigator, mając trochę pogodniejsze niebo z gwiazdami, a szczególnie gwiazdę polarną, utrzymanie kierunku na wschód nie byłoby kwestią. Ale przez te wszystkie noce i dni (7) nie widzieliśmy ani razu pogodnego nieba, a o słońcu nie mogliśmy marzyć. Było to naszym nieszczęściem, gdyż maszerowanie ciągle lasem, całkowicie nam nieznanym, groziło kręceniem się, bez utrzymania dobrego kierunku. Tej pierwszej nocy przeprawiliśmy się po lodzie przez jakieś stawy czy zalewiska, dosłownie ślizgając się na naszych drewniakach jak na łyżwach. Również naszym drogowskazem były jakieś światła Malapane [obecnie:

Ozimek – przyp. wyd.], czy coś w tym rodzaju, przypominające światło latarni morskiej i prawdopodobnie pochodzące z jakiegoś lotniska. Ale na ten temat nic nie wiem do dnia dzisiejszego.

Następne noce nie dawały nam nawet najmniejszej orientacji. Słynne harcerskie poznanie północy, dzięki obrastaniu pni drzew z tego kierunku mchem, było dobre dla drzew stojących na polach albo w lasach bardziej przejrzystych. Ale w tym dużym i dość gęstym lesie śląskim było bardzo zwodnicze. Tak więc maszerowaliśmy lasami jeszcze przez parę dni i nocy, zostawiając ciągle zbyt wyraźne ślady na śniegu. Było dla nas wszystkich widoczne, że właściwie należy się rozdzielić na mniejsze grupy. Kazałem i prosiłem o podział na grupy trzyosobowe. Nic nie wyszło z tego, bo jednak wszyscy chcieli iść ze mną. Nie znajdując innej rady pomaszerowaliśmy dalej całą dziewiątką.

Przy przechodzeniu jakiejś szosy, w odległości półtora kilometra od wsi, zostaliśmy dostrzeżeni i ostrzelani, prawdopodobnie przez strażę wiejskie, które ruszyły w naszym kierunku. Ale parę strzałów karabinowych z naszej strony ostudziło ich zapał. Poszliśmy dalej nie ścigani.

Po tym ostatnim ostrzelaniu, w parę godzin później Edward załamał się i oświadczył, że dalej nie pójdzie, że ma dosyć wszystkiego i tym podobne brednie. Groziłem mu, że go zastrzelę, gdyż nie możemy pozwolić, żeby stał się naszym zdrajcą, który nie wytrzyma na pewno metod niemieckich i będzie sypał. Nic nie pomogło, położył się na śniegu i nie reagował na nasze perswazje. Zostawiliśmy go i poszliśmy dalej. Ale po jakiejś godzinie dogonił nas, cały czas biegnąc. Od tej chwili nie było z nim więcej kłopotów.

W tym czasie, ja przynajmniej, nie odczuwałem już głodu, jak to było w ciągu pierwszych trzech dni. Ponieważ nie wszyscy mieli dość ciepłe płaszcze czy rosyjskie watówki, więc co kilka godzin wymienialiśmy między sobą cieplejsze odzienie. Taki przystanek, na zamianę odzieży, w przedostatnim dniu marszu, stał się powodem śmierci Franciszka. Rozbierając się z płaszcza dałem do potrzymania mój pistolet któremuś z chłopców stojących przy mnie. Staliśmy kręgiem. Gdy zdejmowałem płaszcz, padł strzał i Franciszek padł na ziemię. Dostał kulę w brzuch. Gdyby to nie była ucieczka i była możliwość dostarczenia go do szpitala, mógłby żyć, gdyż żołądki mieliśmy puste. Franciszek zdawał sobie sprawę z naszej sytuacji i niemożliwości wyratowania go. Okazał się prawdziwym bohaterem. Oświadczył nam, że ponieważ to jest dzień, gdzieś niedaleko słychać psy, a nasz strzał może zaalarmować Niemców, nie powinniśmy

tracić czasu i wiać, a o niego nie martwić się. Jedyne co możemy zrobić, to przenieść go w jakieś gęstsze krzaki i tam położyć, aby sobie spokojnie zmarł. Tak się i stało. Trudno pisać o wzruszeniu, jakie nas ogarnęło.

W tym samym dniu, przed albo i po śmierci Franciszka, mieliśmy zbiorowe halucynacje. Jednak było to raczej po śmierci, gdyż widzenie to zobaczyliśmy przy schyłku dnia. Oto w pewnym momencie zobaczyłem zupełnie wyraźnie, przebiegających od drzewa do drzewa żołnierzy niemieckich w hełmach i panterkach. W pierwszym momencie zbaraniałem i nie bardzo rozumiałem, jak mogli podejść tak blisko do nas (bo na jakieś 50 metrów), nie dostrzeżeni, w tym miejscu prawie nie poszytym wysokim lesie. W pewnym momencie jeden z chłopców ukląkł i wymierzył z karabinu. Ale i ja jednocześnie zrozumiałem, że to widzenie, a nie żywi Niemcy. Krzyknąłem, aby nie robił głupstw i poderwałem mu karabin. Razem z ruchem zmora zniknęła. Kazałem się wszystkim ruszać, a ponieważ zaczęło się już ściemniać, ruszyliśmy dalej. Była to ostatnia noc naszego marszu. Był to nasz najgorszy i najcięższy marsz nocny. Byliśmy mocno wycieńczeni.

Nad ranem zatrzymaliśmy się, jak zawsze, w gęstwinie, ale niedaleko od leśnej drogi dla wozów konnych. Trzeba było uważać, aby ludzie nie pomarзли, bo część się pokładła. Wspomnienia tej nocy są dla mnie niekompletne, gdyż i ja zasnąłem. Obudził mnie krzyk w języku niemieckim i polskim, jak i wymierzone w nas karabiny z odległości kilku metrów. Spora grupa Niemców w mundurach leśników i SA-manów otoczyła nas dokładnie. Dowodził nimi jakiś SA-man, którego tytułowali „Herr Major”. Ten przez tłumacza wezwał nas do poddania się i obiecał traktować nas dobrze. Poddaliśmy się, a on słowa dotrzymał. Na ich polecenie odszukanaliśmy Franciszka, który był już zimny i nie żył od kilku godzin. Twarz miał spokojną.

Ten major odstawił nas do jakiejś wioski, gdzie nas wszystkich razem zamknięto w areszcie wioskowym. Jacyś ludzie (pewnie polscy chłopci i dziewczęta<sup>4</sup>) dostarczyli nam dość obfite jedzenie. Pozwolono nam zjeść. Tej samej nocy przyjechało po nas gestapo i około północy odwieziono nas do Opola. Tam po dość krótkich badaniach, odesłali nas do obozu w Brzegu.

I jeszcze parę uwag:

Jeśli pisałem, że ten czarny kot zaważył na nerwach wielu z nas, to

---

<sup>4</sup> Chodzi tu o robotników przymusowych.

miałem rację, bo nawet ci ostatni, aresztowani wraz ze mną, klęli dość często kota. No i ja też.

Jak się dużo później dowiedziałem, wóz żandarmerii na szosie był wozem szkoleniowym dla kierowców.

W obozie w Brzegu podobno dowiedziano się o naszej ucieczce głębokim wieczorem. Pierwsza zorganizowana obława została rzucona na nas na skutek alarmu żandarmów z wozu szkolnego. [...]

Oficer intendent, który odjechał wcześniej z naszego magazynu, też dowiedział się bardzo późno.

Nasz kapo, chłopak z Sosnowca, miał dostać po mordzie od Niemców z najbliższej wioski za opowiadanie bzdur. Do Brzegu podobno odstawiono go również późnym wieczorem. Pytanie, czy to nie on naprawdę poinformował władze obozowe o naszej ucieczce.

Jak widzimy z tego obrazu, jeśli jest prawdziwy, przy odrobinie szczęścia nasza ucieczka mogła się skończyć całkowitym powodzeniem. Szanse były duże, ale mały czarny kot je zniweczył.

Te wspomnienia piszę dokładnie w 32 rocznicę naszego złapania, tj. 12 stycznia 1945 r., gdzieś koło południa. Wolność i przygoda trwały dokładnie 7 dni.